

 Harlequin® Medical®



Fiona McArthur  
*Szczęśliwe zakończenie*

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Złote Ebooki](#).

Fiona McArthur  
*Szczęśliwe zakończenie*

Tłumaczyła  
*Krystyna Rabińska*

Tytuł oryginału: The Midwife and the Millionaire

Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2010

Redaktor serii: Ewa Godycka

Opracowanie redakcyjne: Ewa Godycka

Korekta: Urszula Gołębiewska, Ewa Godycka

© 2010 by Fiona McArthur

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Medical są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.  
00-975 Warszawa, ul. Starościańska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeXt®, Warszawa

ISBN 978-83-238-8144-5

MEDICAL – 486

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kolejny mijany przysadzisty baobab australijski sypnął suchymi liśćmi, co było pewnym znakiem, że pora deszczowa prawie się skończyła. Na widok wygrzewającej się pośrodku drogi agamy kołnierzystej Sophie Sullivan nacisnęła klakson, a wówczas jaszczurka stanęła na tylnych łapach, rozpostarła kołnierz i syknęła. Typowy samiec.

Sophie rozejrzała się dookoła. Czerwone urwiste góry i rzeka płynąca po ogromnych głazach, do której się właśnie zbliżała, były drogą jej sercu i zawsze kojarzyły jej się z domem.

Dom. Północny skraj zachodniej Australii. Region Kimberley. Daleko od miasta i facetów z ustami pełnymi kłamstw, którymi szafowali jak baobaby liśćmi.

Nawet wyschnięty bity trakt biegnący wzdłuż rzeki Pentecost, zwany Gibb River Road, cieszył oko mimo tumanów kurzu. Nagle Sophie spostrzegła luksusowy samochód terenowy zaparkowany koło brodu i mężczyznę stojącego nieruchomo tuż nad leniwie płynącą wodą.

Jeszcze jeden smaczny kąsek dla krokodyli.

Westchnęła. Wieczne utrapienie z tymi turystami. Parkują tutaj, by podziwiać widok na masyw Cockburn Range, zamiast pojechać na parking na szczycie

wzgórza położony z dala od niebezpiecznej rzeki i jej żarłocznych lokatorów.

Sophie zatrzymała samochód i opuściła szybę.

– Wszystko w porządku? – zawołała.

Mężczyzna nie zareagował. Musiał słyszeć, że nadjeżdżam, pomyślała Sophie z irytacją. Jest nie tylko nieroztropny, ale i niewychowany. W końcu jednak nieznamy odwrócił się, spojrzął na nią i lekceważąco burknął:

– Tak. Dzięki za troskę.

Był wysoki, wyższy od jej brata, Smileya, który mierzył blisko dwa metry, i dobrze zbudowany, więc krokodyle miałyby niezłą ucztę. Szkoda. Szkoda by też było džinsów znanej marki i roleksa.

Sophie dopiero od niedawna zauważała takie drobiazgi. Miała dobrego nauczyciela, chociaż zdobyta wiedza została drogo okupiona.

– Widział pan ostrzeżenia? – Znacząco spojrziała na tablicę i przeczytała na głos: „W tej okolicy mieszkają krokodyle. Nie zbliżać się do brzegu. Nie wchodzić do wody”.

Mężczyzna nawet nie drgnął. Brr. Co za gbur. Niezrażona odezwała się ponownie:

– One są naprawdę groźne.

– Owszem. Dziękuję, że mi pani o tym mówi. – Teraz odwrócił się jednak twarzą do niej i dodał: – Tylko wtedy przejeżdżałem.

– Mógł pan przejechać krokodyla – odparła cierpko. – W podobnym miejscu straciłam ukochanego psa.

Jeszcze do tej pory wyrzucała sobie, że to była jej wina.

Dopiero teraz mężczyzna podniósł głowę. Nie był

zabójczo przystojny, lecz miał ciemną oprawę oczu i intrygujące spojrzenie. Natychmiast zabrzmiały w jej głowie dzwonki alarmowe.

– Przykro mi z powodu pani psa – odrzekł i obejrzał się na rzekę, potem znowu spojrzał na Sophie.

Bała się ponownie napotkać jego wzrok, skupiła więc uwagę na niewielkiej bliźnie na brodzie, która nadawała całej twarzy wyraz lekkiej bezbronności, i na ustach. Nagle zapragnęła zobaczyć, jak te usta układają się do uśmiechu. Nieznajomy musiał zauważyć, że zrobił na niej wrażenie, bo westchnął ostentacyjnie i dodał:

– Gdybym teraz został zaatakowany przez krokodyla, bo mnie pani zatrzymuje, nie byłbym zachwycony.

– Ma pan rację. Pańskie zmartwienie, pański pogrzeb. Wtrącam się w nie swoje sprawy – odparła Sophie i ze złością nacisnęła wsteczny bieg.

Levi Pearson odwrócił się i jeszcze raz spojrzał na miejsce, gdzie pięć miesięcy wcześniej zginął jego ojciec. Wpadł do rzeki czy ktoś mu pomógł?

Dowie się tego.

Dziwne okoliczności śmierci ojca do tego stopnia nie dawały mu spokoju, że gdy tylko pora deszczowa dobiegła końca, przyleciał tutaj z siostrą, uprzednio wymógłszy na niej, że nie zdradzi, co ich łączy z Xanadu.

Gdy tylko podejrzenia o udziale osób trzecich w wypadku ojca potwierdzą się, albo przeciwnie, będzie mógł je wykluczyć, zabierze siostrę z tego odлюдzia z powrotem do Sydney. Zarządca znakomicie sobie radzi z prowadzeniem Xanadu, więc może zdać się na niego i mieć kłopot z głowy.

Tymczasem udało mu się odkryć motyw ewentualnego morderstwa. Jeśli opowieści o jego ojcu są prawdziwe, poprzedni właściciele rancza mieli wiele powodów, żeby go nienawidzić.

Zaryzykował i spojrzał na oddalający się samochód terenowy blondynki. Nie, nie mógł się teraz rozprasać. Rozwiązanie zagadki śmierci ojca było najważniejsze. Zdecydowanie ważniejsze od pary niebieskich oczu i pełnych zmysłowych ust.

Skrzywił się z niezadowoleniem. Dziewczyna była wścibska, niemniej go zaintrygowała.

Kimberley o powierzchni większej od Niemiec zamieszkuje około trzydziestu tysięcy mieszkańców, a Levi wcale nie miał zamiaru dołączyć do ich liczby. Postanowił, że nie będzie szukać nowych znajomości. I niepotrzebne mu są żadne komplikacje męsko-damskie.

Plusk z lewej strony otrzeźwił go. Lepiej nie dać się zjeść, pomyślał, i nie stwarzać tej kowbojce okazji do przechwałek typu: A nie mówiłam?

Mimowolnie uśmiechnął się, co ostatnio rzadko mu się zdarzało. Wsiadł do samochodu, który wypożyczył z rancza zamienionego na luksusowy ośrodek wypoczynkowy, i odjechał.

Prawie dwie godziny później Sophie ominęła kolejny wybój na drodze do Jabiru. Starą terenówką zatrzęsło. Teraz, kiedy pora deszczowa się skończyła, drogę na pewno naprawią i zasypią największe dziury, pomyślała z wrodzonym optymizmem.

Była już blisko domu. Dziwne, ale wcale nie czuła zmęczenia. Po spotkaniu z nieznanym przy rzece



wstąpiły w nią nowe siły. Nie, nie chciała o nim myśleć. To była jedna z tych chwil, kiedy dwoje ludzi porozumiewa się bez słów, lecz potem rozchodzą się i czar pryska.

Tym razem jednak czar trwał i trwał, a Sophie niecierpliwie czekała, kiedy minie.

To był po prostu jakiś obcy. Wspaniale zbudowany. Z pięknymi oczami. Ze wspaniałymi ustami. Z tajemniczą blizną na brodzie. Ciekawe, co to za pamiątka?

Miała nadzieję, że jakaś kobieta z temperamentem cisnęła w niego talerzem. Kąciki jej ust zadrgały, gdy wyobraziła sobie podobną scenę, lecz zaraz przywołała się do porządku. Ten facet uosabiał wszystko, czego nie znosiła u mężczyzn. Po pierwsze to gbur.

I na dodatek głupi. Sophie zmarszczyła brwi. Nie, wcale nie wyglądał na głupiego. Przeciwnie, sprawiał wrażenie bardzo inteligentnego. I odważnego. Ciarki jej przeszły po plecach.

Najgorsze, że z daleka czuć od niego pieniądze. Właściwie przypominał jej byłego narzeczonego, doktora Brada Gale'a. Kłamcę. Miała dość lekarzy, kłamców i ludzi, którym się wydaje, że mogą człowieka kupić. I jeszcze podsunąć do podpisu umowę przedmażeńską.

Cieszyła się, że wróciła do Jabiru, do ludzi, którzy mówią to, co mają na myśli i nie knują, jak cię usidlić. Do ludzi, którym jest potrzebna jej wiedza i umiejętności, a nie tylko atrakcyjny wygląd.

Zastanawiała się teraz, czy gdy jej tu nie było, brat nabrał starokawalerskich zwyczajów. Był trochę zaskoczony jej przyjazdem i rzucił jakiś kąśliwą uwagę o najkrótszych zaręczynach w historii.

Sophie przejechała przez miasteczko składające się głównie z pubów oraz budynków z pozabijanymi oknami i dotarła do rodzinnego domu, skromnego, otoczonego werandą i zapuszczonym ogródkiem.

Odziedziczyli go z bratem po rodzicach, którzy z kolei odziedziczyli go po dziadkach ze strony ojca, po tym, jak dziadek zrobił to, co zrobił.

Był to dom schludny i wygodny, lecz w nie najlepszym stanie, ponieważ Smiley odkładał każdego centa na założenie hodowli takiej, jaką dziadek przegrał w karty. A właściwie nie tyle przegrał, co stracił, bo padł ofiarą oszusta i szulera.

Nie, Smiley nie pragnął odzyskać Xanadu. Miał własne plany na założenie rancza hodowlanego i dlatego obecnie jego stado było rozczłonkowane i rozmieszczone po całym Kimberley, podczas gdy on oszczędzał na kupno ziemi. Sophie nie mogła się jednak pogodzić z tym, że i ojciec, i brat musieli tak zaciskać pasa, żeby do czegoś dojść w miejscu, gdzie się urodzili.

– Chyba załadowałeś bydło wcześniej, bo po drodze nie widziałam ciężarówek z naczepami – zaczęła, podchodząc do werandy, lecz urwała i przystanęła w pół kroku.

Smiley nie był sam.

– Sophie, poznaj Odette. – Brat wskazał drobną brunetkę. – Odette spodziewa się dziecka. Przyjechała z Sydney. Zatrzyma się w okolicy przez tydzień albo dłużej, dlatego na wszelki wypadek chciała nawiązać kontakt z położną.

Sophie ucisnęła wymanikiowaną dłoń kobiety, a przy okazji zauważyła elegancki drogi zegarek. Brad kupił jej podobny. Zostawiła go w Perth.

Odpędziła od siebie wspomnienia. Musi się pilnować. Złe doświadczenia nie mogą wpływać na jej ocenę ludzi. W końcu dzięki bogatym turystom miejscowi mają pracę.

– Witamy w Jabiru – rzekła i spytała: – Długo czekasz?

– Przyleciałam godzinę temu. – Pomalowane korallową pomadką usta ułożyły się w uśmiech. Odette miała słodką buzię i nienaganny makijaż, co przy panującym upale było nie lada osiągnięciem. – Powinnam zadzwonić, ale wydawało mi się, że ambulatorium będzie czynne.

Sophie obejrzała się za siebie na stojący po drugiej stronie ulicy budynek zamieniony na przychodnię.

– Odwiedzałam osadę Aborygenów. Dzisiaj przypada dzień porad dla kobiet. Razem z dojazdem zajęło mi to kilka godzin.

– Smiley wszystko mi wyjaśnił – odparła Odette i nieśmiało spojrzała na brata Sophie.

Odpowiedział jej uśmiechem. Niesłychane!

Sophie zmarszczyła brwi.

– Odette sama przyleciała helikopterem – wtrącił.

– Masz licencję pilota? No, no – rzekła Sophie z podziwem, a w myślach dodała: I w zaawansowanej ciąży siadasz za sterami, no, no.

Odette wzruszyła ramionami.

– Latam dla przyjemności. Za to ty jesteś położną. No, no.

Sophie roześmiała się.

– Również dla przyjemności. Moja przyjaciółka, Kate, druga położna, ma własny samolot i przylatuje tu ze swojego rancza – odrzekła. Odette wydała jej się

bardzo sympatyczna. – Czyli spodziewasz się dziecka, tak? Przejdźmy do przychodni, to cię zbadam, dobrze?

Odette odwróciła się do brata Sophie.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

Smiley uklonił się szarmancko i uniósł kapelusz akubra. Idąc obok Sophie na drugą stronę ulicy, Odette zauważyła:

– Masz przystojnego brata.

Sophie aż zamrugała z wrażenia. Nigdy o tym nie pomyślała. Smiley to Smiley i już.

– Dla mnie wciąż jest piegowatym chudzielcem.

– Ja żadnych piegów nie zauważyłam – odparła Odette rozmarzonym tonem.

Sophie skrzywiła się. Bogate dziewczyny z wielkiego miasta nie pasują do Smileya.

– To helikopter twojego męża? – spytała niezbyt taktownie.

– Nie mam męża – odparła Odette bez mrugnięcia okiem. Nie była głupia. – Ojciec mojego dziecka nie żyje.

Ale palnęłam gafę, pomyślała Sophie. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

– Przepraszam – wybąkała.

– Nie szkodzi. Takie rzeczy lepiej wyjaśnić sobie od razu. Zresztą to nie był miły człowiek. A co do helikoptera, to należy do ośrodka, w którym się zatrzymałam.

– Xanadu – domyśliła się Sophie.

Xanadu, dawniej ranczo hodowlane, obecnie luksusowy ośrodek rekreacyjny, dzieliło od Jabiru około stu kilometrów. Dom zamieniono na pięciogwiazdkowy hotel z wyśmienitą kuchnią i wybornymi winami,

a w programie pobytu były wycieczki z przewodnikiem do wąwozów i gorących źródeł. Właściciele zamienili pastwiska w park, zostawiając niewielkie stado bydła dla dekoracji. Nie tak to wyglądało za czasów dziadka.

– Nie wiedziałam, że mają helikopter dla gości – dodała.

Odette wzruszyła ramionami.

– Poprosiłam zarządcę, a on się zgodził. – Nagle Odette spojrzała na Sophie, jak gdyby przyszedł jej do głowy świetny pomysł. – Jak chcecie, mogę zabrać was i Smileya na wycieczkę.

– Dziękuję, ale może innym razem? Przecież jesteście w ciąży.

– Jakbym słyszała mojego brata.

Dlaczego Sophie nagle pomyślała o nieznanym znad rzeki, który był tu tylko przejazdem?

– Wysoki, z blizną na brodzie, dość ponury?

– Znasz Leviego? – zdziwiła się Odette.

– Ma na imię Levi? Tak, wyobraź sobie, że dzisiaj natknęłam się na niego przy brodzie na rzece Pentecost. – Sophie przemilczała fakt, że stał o wiele za blisko wody. Nie chciała denerwować Odette. – Ostrzegłam go, że w rzece rezydują krokodyle.

Odette zrobiła taką minę, jak gdyby się nad czymś zastanawiała, po czym przybrała zwykły wyraz twarzy.

– On wie o krokodylach, ale dzięki za troskę. Levi to fajny facet, tylko zapomniał, że można cieszyć się życiem.

I przystojny, Sophie dodała w myślach. Lepiej zmienić temat, zdecydowała i spytała:

– Kiedy masz termin porodu?

– Za miesiąc.

Sophie ukryła zdziwienie. To chyba pomyłka, pomyślała. Zerknęła na swoją towarzyszkę. Może się bandażuje?

– Zgadzam się z twoim bratem, że nie powinnaś latać – odezwała się. – Gdzie jest teraz twoja matka?

– Umarła, kiedy byłem dzieckiem. – Boże, kolejna gafa! Na szczęście Odette nie wyglądała na dotkniętą. – Wychowywał mnie Levi – wyjaśniła. – Nasz ojciec uciekł z inną kobietą, kiedy byłem jeszcze całkiem mała. To dlatego Levi jest taki poważny. Od wielu lat jest głową rodziny.

Za dużo tych rewelacji naraz, pomyślała Sophie.

Pchnęła drzwi przychodni i zaprowadziła Odette do małego pokoju zabiegowego.

– Zmierzę ci ciśnienie, dobrze? Potem zbadam brzuch i posłuchamy bicia serduszka dziecka. Jeśli masz przy sobie kartę przebiegu ciąży, zrobię ksero i gdyby wyniknęły jakieś problemy, zadzwonisz, a ja wszystko ci wyjaśnię. Okej?

Odette uśmiechnęła się promiennie.

– To brzmi jak przyjęcie do szpitala.

– Tutaj nie przyjmujemy porodów, chyba że sytuacja jest nadzwyczajna. – Wskazała krzesło koło biurka. – Usiądź, proszę.

Odette zajęła miejsce i wyciągnęła rękę, którą Sophie owinęła rękawem aparatu do mierzenia ciśnienia.

– Za kilka dni i tak wracamy do Sydney – rzekła.

Aha, pomyślała Sophie. Czyli Levi nie kłamał, mówiąc, że jest tu tylko przejazdem. Ale po co ciągnął ze sobą ciężarną siostrę?

– Ciśnienie idealne. Sto dziesięć na sześćdziesiąt –

oznajmiła, wyjmując słuchawki z uszu. – A teraz – wskazała leżankę – połóż się i sprawdzimy, gdzie to twoje dziecko się schowało.

Odette zaśmiała się.

– Wszyscy mi mówią, że mam mały brzuch, ale ja sama, kiedy się urodziłam, ważyłam zaledwie dwa i pół kilograma – wyjaśniła. – USG pokazało, że to chłopiec.

Położyła się i podciągnęła bluzkę. Sophie zbadala jej brzuch i potwierdziła przybliżony termin porodu. Potem wzięła aparat Dopplera do badania tętna płodu i przyłożyła w miejsce, gdzie namacała rączkę dziecka. W pokoju rozległo się głośnie bicie serca. Oczywiście Sophie i Odette spotkały się. Obie pomyślały o tym samym, o cudzie macierzyństwa.

– Idealnie – stwierdziła Sophie. – Sto czterdzieści uderzeń na minutę.

– Dziękuję ci – rzekła Odette. – Teraz czuję się znacznie pewniej. – Wstała i wygładziła bluzkę. – Ile jestem winna? – zapytała.

– Nic. Takie badanie jest bezpłatne.

– W takim razie zapraszam ciebie z bratem w weekend do Xanadu na kolację. Przylecieć po was helikopterem?

Boże, tylko nie to! A myślała, że jutro, najdalej pojutrze wyjeżdżają. Odprowadziła Odette do drzwi i rzekła:

– Dziękuję, ale boję się latać. Poza tym nie wiem, jakie Smiley ma plany. Ja sama dopiero niedawno wróciłam z Perth.

– Zadzwoń pod koniec tygodnia. – Odette przystanęła, jak gdyby nowy pomysł wpadł jej do głowy.

– Albo wiesz co? Skoro nie lubisz latać, to może przyjedziecie samochodem i zostanieie na noc? Właściwie tak będzie jeszcze przyjemniej.

– Porozmawiam z bratem – obiecała Sophie.

Ani myślę, dodała w duchu.

Odette wyciągnęła z torebki złotą puderniczkę, otworzyła ją i szminką pociągnęła usta. Sophie uśmiechnęła się. Tutaj w buszu rzadko się malowała.

– A właściwie to jak twój brat ma na imię? – spytała Odette i zatrzasnęła puderniczkę.

Sophie musiała pomyśleć chwilę, zanim odpowiedziała:

– William.

Odette pokiwała z namysłem głową i oświadczyła:

– To ja tak go będę nazywała. William.

– Dawno nikt się do niego nie zwracał w ten sposób – rzekła Sophie. Czy to coś znaczy? Miała nadzieję, że nic. – Możliwe, że już zapomniał, że tak ma na imię.

– Tym bardziej – skwitowała Odette.

Tego samego popołudnia Levi nalał siostrze schłodzonego soku, a sobie piwa, a potem spojrział z werandy na parów poniżej. Dopiero teraz zaczęło do niego docierać, co Odette mówiła.

– Powtórz jeszcze raz. Co zrobiłaś?

– Zaprosiłam Williama i Sophie na weekend. Położną, która mnie zbadała, z bratem. Zjedzą z nami kolację, przenocują i następnego dnia pojedą.

Miał ochotę ją udusić.

– Czy nie uprzedzałem, że nie chcemy zwracać na siebie uwagi, dopóki nie odkryję, czy ktoś z tutejszych



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Złote Ebooki](#).